

„Miłość to opar westchnienia: ulotny,
Lecz ciężki, płomień spojrzenia: zalotny,
Ale pałacy, morze łez: choć czyste,
Jednak bezdenne. Miłość jest zaiste
Dławiającą żółcią i zbawczym balsamem,
Jest metodycznym szałem - wciąż tym samym
I wciąż rosnącym" - Shakespeare

Podobno miłość jest czymś pięknym. Czymś, dla czego warto jest żyć i warto też umierać. Słyszac to słowo, zazwyczaj przywołujemy w pamięci obraz osoby, która sprawia, iż czujemy się szczęśliwi, czujemy się lepszymi ludźmi, bardziej wartościowymi. Myślimy, iż jest ona naszym kluczem do szczęścia, do życiowego spełnienia, zażegnania smutków i zmartwień. Lecz cóż, jeśli owa istota nie jest tym, kim być się zdaje? Co, jeśli dławi ją niekontrolowane szaleństwo, a my - bezbronni obserwatorzy - możemy jedynie godzić się na jej coraz śmielsze posunięcia, nie potrafiąc wyrzec się powstałego w sercu uczucia?

Poznałam go w szkole, gdy oboje byliśmy jeszcze niewinnymi dzieciakami z nikłym pojęciem o świecie, w jakim przyszło nam żyć. Wydawało nam się jednak, że posiadamy władzę, jakiej nie posiadał nikt inny. Wierzyliśmy, że w pojedynkę zdolni jesteśmy odmienić przyszłość, zwojować kraj i wnieść odrobinę ciepła do skutych lodem, zobojętniałych dusz. Byliśmy mali, lecz planowaliśmy dokonać rzeczy wielkich. Nikt nam nie wierzył, wpajając nam wizerunek okrutnej krainy odmienionej przez widmo śmierci i krwawej żądzy bólu.

Był dość wysokim młodzieńcem o bladej cerze i zakrywających oczy kruczoczarnych włosach. Często się uśmiechał, doprowadzając moje serce do przyspieszenia swego tempa. Mimo swych nienaganych manier, kreatywnych pomysłów i niebanalnego poczucia humoru, nie miał zbyt wielu przyjaciół. Zdawał się być raczej osobą skrytą, pełną tajemnic, którymi nie dzielił się z nikim, pozwalając im czasem zapuścić korzenie w umyśle, tak, by stać się zbyt bezbronnym i niezdolnym do ucieczki w wyobraźnię lub głębszą przyjaźń. Jednego dnia nie potrafił przerwać milczenia, drugiego prawie nie zamykał ust, wyrzucając coraz to nowe potoki słów i zlepki zdań. Trudno było za nim nadażyć lub przewidzieć jego zachowanie. Był jednak jedną z tych osób, które nigdy nie odmawiały pomocy, zawsze potrafił mnie rozbawić lub podsunąć rozwiązanie problemu. Mimo że sam cenił chwile samotności, ani przez chwilę nie pozwalał mi poczuć się samotną. Pojawiał się w najmniej oczekiwanym momencie, zazwyczaj wtedy, gdy jego obecność była najpotrzebniejsza. Pomimo wielu przeciwności, skrajności i zmiennych nastrojów, był najlepszą osobą, jaką dane mi było poznać. Był moim najlepszym przyjacielem i zarazem bratnią duszą, z którą mogłam podzielić się wszelkimi spostrzeżeniami i wdać się w wielogodzinne dyskusje o filozofii i istniejących systemach wartości. Był kimś, przy kim wszystkie smutki zniknęły, pękały jak bańka mydlana, rozplywały się w powietrzu. Kimś, kto rozumiał mnie w pełni, kto nigdy nie odchodził.

☐ Dosyć prędko zorientowaliśmy się, że nasza relacja nie jest zwyczajną koleżeńską znajomością. Nie wiedzieć, kiedy, zakochaliśmy się w sobie bez pamięci, nie mogąc wytrzymać krótkich nawet chwil rozłąki. Nie potrafiliśmy bez siebie żyć, jak gdybyśmy

byli złączeni niewidzialną nicią, nasze serca biły równym, stabilnym rytmem, którego nikt nie był w stanie zakłócić ani zniszczyć. Stał mi się powietrzem, jego brak drażnił moje płuca, dusiłam się, jak gdyby otoczenie rozsiewało niewykrywalną truciznę. On był moim antidotum, moim lekarstwem na ból i bezsenność, środkiem antydepresyjnym dawkowanym nieostrożnie, bez odpowiedniej uwagi i kontroli. A, jak wiadomo, nadużycie leków ma też swoje skutki uboczne.]

Po ukończeniu szkoły, wciąż nierozłączni, postanowiliśmy razem zamieszkać. Dzięki pomocy rodziców i samodzielnie zarobionym pieniądзом udało się nam zakupić średniej wielkości dom z małym ogrodem. Nie mieliśmy zbyt wielu mebli, którymi moglibyśmy ozdobić nasze gniazdko, jednak czuliśmy się w pełni usatysfakcjonowani. Dom, choć nie zachwycał rozmiarem, był dosyć przytulny, a sam fakt, że oto będziemy widywać się codziennie, budzić się obok siebie i wspólnie spędzać dni, napawał nas nieukrywaną radością. Nasze lokum znajdowało się na pustkowiu, z dala od innych domostw, zdawałoby się, że w miejsce to nie dociera żadne ludzkie spojrzenie, żadna forma życia nie zapuszczała się tak daleko w głąb samotni. Dawało to nam poczucie większej prywatności i zapewniało spokój od hałasu samochodów i gwaru rozmów. Wszystko zdawało się pochodzić z bajki, tak ogromna radość i bezgraniczna, odwzajemniona miłość były wręcz nierzeczywiste, jak gdyby przyszło nam żyć w wymyślonym przez natchnionego poetę kraju z marzeń. Jednakże wkrótce całe to błogosławieństwo miało spocząć w ruinach, gdy wyszła na jaw gorzka prawda.

Pies, którego niedawno przygarnęliśmy, był niezwykle ruchliwym, pełnym życia stworzeniem. Reagował jednakże na każdą komendę, każdy krzyk i uwagę, dzięki czemu zapanowanie nad jego naturą nie graniczyło z cudem. Pewnej nocy obudziłam się nagle, wyrwana z sennego koszmaru, z przekonaniem, iż właśnie stało się coś złego. Nie wiem, skąd przyszedł ten pomysł ani jakim cudem wdarł się do mego umysłu, ale czym prędzej wstałam z łóżka, by sprawdzić mieszkanie. Mój pokój był pusty, a luby gdzieś przepadł. Odnalazłam go w kuchni, wiszącego nad zwłokami naszego martwego psa. Krew zwierzęcia płynęła falą po posadzce, jego brzuch był rozpruty, a z wnętrza wystawały fragmenty uszkodzonych organów. Oczy, wciąż otwarte, zastygły w przerażeniu. Pysk wykrzywił się w grymasie bólu, a wykrzywione pod dziwnym kątem łapy znieruchomiały w powietrzu. Moje ukochane zwierzę leżało martwe, a nad nim z przeszywającym uśmiechem pochylała się moja miłość, z rękoma naznaczonymi mordem i obłąkanym spojrzeniem. Wtedy zrozumiałam, kogo tak naprawdę obdarzyłam uczuciem i jak bardzo zaślepiona musiałam być, by nie dostrzec prawdy tańczącej tuż pod moim nosem. Nie było już jednak odwrotu.

Być może niewinny i niczego nie przeczuwający pies był jego pierwszą ofiarą, ale z pewnością nie ostatnią. Czasem wracał do domu w środku nocy, cały przepełniony i umazany szkarłatną ciecżą. Nigdy nie odzywał się słowem na temat tego, czego właśnie dokonał ani na kogo spadło jego szaleństwo. Nigdy też nie próbował się tłumaczyć, usprawiedliwiać, przedstawiać swych zdeformowanych poglądów ani udowodniać słuszności swego działania. Nie prosił mnie też, abym mu w czymkolwiek pomogła, wsparła, stała się współnikiem jakże okropnej zbrodni, z czego byłam niezwykle rada. Najgorszą do zniesienia noc przyniósł z sobą lipiec, gdy mój ukochany powrócił ze związanym ciałem wciąż żywego dziecka. Z sąsiedniego pokoju dobiegały wówczas nieludzkie jęki i błagalne krzyki, nawoływania pomocy zagłuszane ciągłymi uderzeniami, odgłosami ostrzenia noży lub nerwowym poszukiwaniem potrzebnych

narzędzi, ścieraniem brudu z ramienia siekiery. Choć z całych sił naciągałam poduszkę na głowę, próbując zasnąć i odpędzić od siebie te wszystkie makabryczne dźwięki, ani na chwilę nie zmrużyłam oka. Nie potrafiłam udawać, że nic się nie dzieje, że zło nie ma miejsca, że krzywda nie zostaje wyrządzona, a krew niewinnych nie spływa po podłodze pokoju, formując się w plamę rozpacz i pokazując zwierzęcą pasję mordy, która sięga apogeum tuż za cienką, dzielącą nas ścianą. Nie potrafiłam też przestać kochać człowieka, który miał na sumieniu śmierć wielu już osób. On jako jedyny zawładnął moim sercem i duszą, przywłaszczył je, zagarnął na własność, nie pytając o pozwolenie. Wszedł z butami

w moją spokojną egzystencję, nadając jej nowego, gorzko-słodkiego smaku. Uwięził mnie we wzniesionej z nieprzemyślanej miłości klatce, z której nie mogłam się wydostać ani odnaleźć klucza, drogi powrotnej do domu. Byłam zbyt słaba, by odejść i zbyt w niego zapatrzona, by uwierzyć zmysłom, które zdawały się pokazywać mi nierealny obraz realnej osoby. Tkwiłam więc w tej pustce, nie mogąc podjąć żadnej właściwej decyzji.

Przestałam się uśmiechać, nie widziałam ku temu powodów. Wtedy też narzeczony dostrzegł zmianę, jaka zaszła w mej osobie. Dostrzegł usychający kwiat, który postanowił uzdrowić, przywrócić do życia czy wskrzesić z popiołów. Zdecydował namalować mi uśmiech, który już nigdy nie zejdzie z mej twarzy, abym już do końca pozostała radosną, roześmianą i promienną dziewczyną, jaką poznał lata temu. I nawet teraz, gdy patrzę na okaleczone poliki i usta, nie potrafię wykrzesić z siebie nienawiści ani odrazy, która powinna stać się zrozumiałą i jedyną właściwą reakcją w tej oto sytuacji. Wiedziałam, że ta historia nie skończy się dobrze, gdy kolejnego wieczoru przywiązał mnie do drewnianego krzesła, abym nie wyrywała się zbyt mocno i pozwoliła mu mnie upiększyć. Miałam się stać jego idealnym dziełem, którego pozazdrościłby mu nie jeden artysta. Miałam przeistoczyć się w coś niezwykle pięknego, niekoniecznie ludzkiego, choć wątpiłam, czy pozostały jeszcze we mnie resztki człowieczeństwa. Nie opierałam się. Czekałam aż ból stanie się na tyle silny, bym mogła zasnąć i zapomnieć o zimnych oczach szatana i miłości, którą we mnie obudził.